

Agneszka Hałas

DWIE KARTY



AGNIESZKA HAŁAS

Teatr węży

TOM 1

DWIE KARTY

Oficyna wydawnicza RW2010

Poznań 2013

AGNIESZKA HAŁAS

TEATR WĘŻY

tom 1

DWIE KARTY

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2013

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Agnieszka Hałas 2013

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-64-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Patronat medialny:



Spis treści

Prolog.....	6
Rozdział 1 Królowa cierni.....	9
Rozdział 2 Niedobry wiatr.....	15
Rozdział 3 Familia.....	31

*Give me what I'm deep in need of
A sanctuary beyond this cruel world
A peerless cure-all to recover
Like lithium and a lover
(Sirenia, „Lithium and a Lover”)*

Prolog

Dawno temu światem rządziło dziewięciu bogów.

Władali mocą żywiołów, przemawiali językiem gwiazd, byli potężniejsi od upływającego czasu. To oni powołali do życia pierwszych ludzi, a potem nauczyli ich, jak uprawiać ziemię i wznosić domy. Ofiarowali śmiertelnikom ogień i pismo.

Dawno temu, kiedy świat był młody, panowała w nim harmonia. Wszystkie żywe istoty były posłuszne rozkazom swoich stwórców. Ludzie żyli w dobrobycie, bo ziemia rodziła obfite plony. Budowali bogom świątynie, składali im ofiary, a kiedy umierali, ich dusze ulatywały do świetlistych krain poza gwiazdami.

Lecz nadszedł czas, gdy harmonia została zburzona. Z odległych wymiarów nadciągnęło zło pod postacią potwora, potężnego smoka o wielu głowach. Był on tak wielki, że mógł połknąć słońce i przesłonić niebo. Chciał zniszczyć świat, ponieważ niszczenie stanowiło cel i sens jego istnienia.

Rzucił wyzwanie bogom, a ci podjęli walkę. Wojna trwała przez wiele wieków i żadna ze stron długo nie mogła uzyskać przewagi. Dla ludzkości był to mroczny czas, czas zagłady. Woda w rzekach przemieniła się w krew, morza wystąpiły z brzegów, a z nieba lał się ogień.

W końcu zło zostało unicestwione i świat zaczął powracać do dawnej postaci. Słońce i księżyc zaświeciły na nowo, wody mórz powróciły na swoje miejsce. Z chmur znowu spadł czysty deszcz, a tam, gdzie jego krople wsiąkły w jałową, wypaloną ziemię, wyrosła świeża zieleń. Ocalali ludzie wyszli z ukrycia, by na nowo

zasiedlić ruiny wiosek i miast. A gdy na ziemi wszystko powróciło już do dawnego ładu, bogowie poczuli, że są znużeni.

Zapragnęli poszukać ukojenia poza granicami świata. Wiedzieli jednak, że jeśli odejdą, ludzkość pozostanie bezbronna, wydana na łup demonów oraz wszelkich innych wrogich sił, jakie mogą nadciągnąć z głębin nieskończoności. Dlatego postanowili przekazać śmiertelnikom w pożegnalnym darze część własnej boskiej mocy.

Ze światła i ciemności, z ognia i wody, piasku i wiatru utkali Zmroczę, Sha'r; następnie zaś tchnęli w nią życie, aby odtąd osłaniała materialny świat, oddzielając go od sfer zamieszkanych przez duchy, larwy i żywiołaki. I ofiarowali ludziom magię, która bierze swój początek ze Zmroczy, tak jak roślina wyrasta z ziemi.

Dziś to my, śmiertelnicy, jesteśmy strażnikami tajemnic stworzenia, a wybrani spośród nas władają mocą równą boskiej. Są dwie barwy magii, srebro i czerń. Magowie rozkazują żywiołom, podróżują do świata snów i przepędzają demony.

Lecz na początku, u zarania dziejów, ludzkość nie знаła magii, światem rządziło bowiem dziewięciu bogów, którzy stali na straży wszystkiego, co piękne i dobre. A imiona ich brzmiały: Haran, Eresh, Araya, Leleya, Proserpis, Merauke, Ilmar, Sabel i Tanaya.

Święta Księga, wstęp do Starych Kronik

Dwie są barwy magii. Srebro i czerń.

Na początku było srebro. Srebro pochodzi od bogów i celem jego jest doskonałość.

Lecz tak jak światło rzuca cień, tak ze srebra zrodziła się czerń. Za sprawą demonów, dzieci chaosu, dar bogów został skażony. Słuchajcie moich słów: oto światło zostało wydane na łup ciemności. Czerń budzi się w duszach ludzi i przemienia ich w swoje narzędzia.

Przeklęty niech będzie duch zatruty przez nią, skazany, by odradzać się wciąż na nowo i w każdym ze swych wcieleń czynić zło. Nie będziecie mieli litości nad tymi, w których obudził się czarny dar, ponieważ zagrażają oni boskiemu dziełu stworzenia.

Święta Księga, Księga Skazy

Rozdział 1 Królowa cierni

Pełgający płomyk kaganka oświetlał ponure wnętrze celi i mężczyznę, który siedział na pryczy z pochyloną głową.

Jaspin Souret, szlachcic, erudyta i znawca nauk ścisłych, absolwent słynnej akademii w Ri Talma, popełnił w życiu kilka poważnych błędów.

Młody i ambitny, chciał zrobić karierę w środowisku dworskim i wpadł w pułapkę życia ponad stan, a później zakochał się w kurtyzanie, która zrujnowała go do reszty. Wtrącony do więzienia za długi, zdołał uciec za granicę i rozpocząć nowe życie pod przybranym nazwiskiem. Skuszony wizją błyskawicznego zdobycia majątku, zajął się fałszowaniem pieniędzy. Interes z początku szedł kwitnąco, ale po dwóch miesiącach Soureta wsypał zazdrosny współnik.

Kara śmierci przez zanurzenie we wrzącym oleju, poprzedzone łamaniem kości i szarpaniem ciała rozpalonymi obcęgi, nie stanowiła milej perspektywy. Nawet jeśli pogrążone w śmierdzącej ciemności więzienie przywodziło na myśl otchłanie piekieł. W ciągu miesiąca, oczekując na proces, Souret wychudł, zęby zaczęły mu się chwiać, a z brudu nabawił się wrzodów w różnych nieciekawych miejscach. Czuł się żaloszny jak ostatni nędzarz.

Od wilgotnych murów odbijało się echem podzwanianie łańcuchów oraz jęki chorych. W izbie na przeciwległym końcu korytarza dozorca i jego pomocnik grali w karty, klnąc co drugie słowo.

Jaspin wpatrywał się w tatuaż na przedramieniu. Przed wtrąceniem do lochów strażnicy obszukali go i obdarli ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Jednak rysunek na skórze nie zwrócił ich uwagi. Był przecież tak niepozorny. Kilka napuszczonych czarną farbą znaków.

Imię.

Dawno temu, jeszcze na studiach, Jaspin po pijanemu dał się namówić na ten tatuaż i zapłacił za niego złotem. Gdy wytrzeźwiał, przeraził się do tego stopnia, że natychmiast spróbował usunąć rysunek, przypalając skórę świecą. Bez skutku – po kilku dniach rana zagoiła się bez najmniejszego śladu i tatuaż pozostał na swoim miejscu. Wtedy Jaspin przestraszył się jeszcze bardziej i zaniechał dalszych prób. Nigdy nie próbował też wykorzystać mocy zaklętej w znakach. Bał się. Nawet wtedy, kiedy go uwięziono, z dwojga złego wolał czekać na wyrok, łudząc się, że zostanie ułaskawiony.

Lecz teraz nie miał już nic do stracenia.

Zaczerpnął głęboko tchu i potarł tatuaż wskazującym oraz małym palcem prawej dłoni, tak jak uczono go przed laty.

– Kouremosie! – szepnął. – Kouremosie, przybądź!

Wstrzymał oddech, bo powiało przenikliwym zimnem. Pośrodku celi zaczęły gęstnieć kłęby dymu czy mgły, które szybko przybrały kształt postaci. Po chwili przed więźniem stanął demon z głową ibisa, odziany w bogate szaty.

– A więc po tylu latach wreszcie odważyłeś się mnie wezwać, Jaspinie Souret – przemówił chrapliwie. – Jesteś nierozsądnym tchórzem. Mogłem ci pomóc wiele razy, ale teraz już za późno. Nie pomagamy ludziom, którzy są tak słabi, że zwracają się do nas dopiero wówczas, gdy nie mają innego wyjścia.

W akademii w Ri Talma można było potajemnie uczyć się przedmiotów, których nie wykładano legalnie na żadnej uczelni. Na przykład demonologii. Minęły lata, ale Jaspin Souret nadal pamiętał różne rzeczy z wykładów starego, kulawego mistrza Laurentiusa. Na przykład to, że Otchłań, świat demonów, istnieje i rośnie w siłę, pochłaniając dusze śmiertelników. Takich, którzy dobrowolnie oddali się w niewolę, bądź takich, którzy zostali zabici przy zachowaniu pewnych zasad. Demony mają jeden główny cel – zdobywać jak najwięcej dusz, dlatego są mistrzami manipulacji i podstępu. I stale poszukują sojuszników. Agentów.

Mając w pamięci tę wiedzę, Jaspin Souret uśmiechnął się chytrze.

– A gdybym poprzysiągł wam posłuszeństwo na wieczne czasy... Mógłbym się okazać przydatny. Studiowałem, trochę jeździłem po świecie, mam znajomości...

Demon zmierzył go wzrokiem z niejakim powątpiewaniem, ale widać było, że się zastanawia.

– Chciałbyś zostać naszym sługą w materialnym świecie, człowieczku? O tym musiałyby zdecydować moja pani, Sul-Berith.

– A więc zabierz mnie do niej.

Kouremos uśmiechnął się drapieżnie.

– Skoro tego sobie życzysz....

Dotknął jego czoła końcem pazura i Soureta ogarnęła ciemność.

Strażnicy, którzy nazajutrz rano weszli do celi, żeby zabrać skazanego na miejsce kaźni, zastali na pryczy martwe ciało. Lekarz więzienny postawił diagnozę – apopleksja.

– Nie musisz się tak trząść, człowieczku. Trzymam cię. Na jad mojej pani! Czemu wy, śmiertelni, jesteście tacy tchórzliwi?

Kouremos dzierżył Soureta w żelaznym uścisku. Niebo ponad nimi przypominało skłębiony dym. Lecieli z wielką prędkością ponad czarną równiną, na której wznosiły się drzewa wyższe niż jakakolwiek wieża na ziemi, pozbawione liści, o poskręcanych jakby w męce konarach. Wisieli na nich jęczący potępieni, jeden przy drugim, niczym owoce.

Pośrodku równiny wznosił się pałac o wielu wieżach, czarny jak obsydian. Otaczał go potężny żywopłot ze splątanych ciernistych pędów, wysoki na kilkadziesiąt stóp. Po murach przechadzali się zakuci w zbroje strażnicy o pyskach bestii. Kouremos, nadlatując, pozdrowił ich przeraźliwym ptasim krzykiem.

Wylądowali na dziedzińcu i po niedługim oczekiwaniu zostali wprowadzeni do zamku. Strach zaćmił zmysły Jaspina do tego stopnia, że szlachcic niewiele zapamiętał z otoczenia. Blask pochodni, czarne marmury, jakieś upiorne postacie.

Zaprowadzono ich do olbrzymiej sali o sklepieniu podpartym kolumnami, gdzie na podwyższeniu, pod baldachimem w kształcie smoczego skrzydła, stał tron z ciemnego metalu. Po obu jego stronach trzymały straż istoty podobne do olbrzymich żuków ze stali, o świecących czerwono oczach.

Sul-Berith, władczyni Doliny Cierni, najlepiej czuła się pod postacią młodej ludzkiej kobiety. Zwodniczo piękna i krucha, w sukni wyglądającej jak utkana z pajęczyn, od niechcienia bawiła się berłem w kształcie pęku koleczastych pędów. Dwie służące o głowach ptaków wachlowały ją.

– Co masz mi do zaoferowania, Jaspinie Souret? – spytała głosem podobnym do szemrania wody.

Szlachcic zaczerpnął tchu.

– Chciałbym zostać waszym sługą w materialnym świecie, o pani.

Roześmiała się melodyjnie.

– Przykro mi, Jaspinie. Jesteś słaby, tchórzliwy i źle sobie dobierasz przyjaciół. Nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku. – Skinęła na strażników. – Zabierzcie go i znajdźcie mu miejsce na równinie, na drzewie.

– Zaczekajcie! – zawołał Souret. Doznał bowiem olśnienia spowodowanego strachem. – Wiem o czymś, co może się wam przydać!

Sul-Berith uniosła brew.

– Mów, śmiertelniku.

– Rok temu, podróżując, zawędrowałem do Shan Vaola nad Zatoką Snów. W oberży przypadkiem podsłuchałem rozmowę dwóch kupców. Opowiadali, na jakie dziwne można się natknąć w tym mieście. Jeden z nich stwierdził, że zna zbieracza osobliwości, który prócz innych niezwykłych przedmiotów ma w swej kolekcji

szklaną kulę. Wewnątrz niej dawno temu uwięziono stado ognistych ifrytów. Gdyby zaklęcie przysło, mogłyby zniszczyć nie tylko dom właściciela, ale i całe miasto, ale właściciel kuli uważa ją po prostu za eleganckie kuriozum. Gdybyście odnaleźli te ifryty i uwolnili je, mogłyby dla was zdobyć dziesiątki, jeśli nie setki dusz.

– Dziękuję ci, przyjacielu. To interesująca informacja. Sprawdzimy ją. – Sul-Berith skinęła berłem i strażnicy podeszli, chrzescząc blachami. – Zabierzcie go na równinę.

– Nie! – rozpaczliwie wrzasnął szlachcic. – Jak to? Nie możecie!

Kouremos parsknął.

– Dobrowolnie oddałeś się pod naszą władzę, człowieczku, więc możesz mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Strażnicy wywlekli Soureta za drzwi. Jego krzyki ucichły w oddali.

– Żaloszna istota. Ale co się tyczy informacji, które podał... Warto je sprawdzić.

– Władczyni w zamyśleniu splotła szczupłe dłonie. – Potrzebny mi Vermigeris.

Wezwano nadwornego wróżbitę.

Godzinę później na posadzce sali tronowej widniał wyrysowany kredą pentagram, wewnątrz którego płonął zielony ogień. Vermigeris, odziany w szatę ze złotogłowiu, intonował kolejne zaklęcia.

Rozległ się trzask i w pentagramie, ponad zielonymi płomieniami, rozbłysły inne – czerwone jak krew. Przybrały kształt niedużego stworzenia, jaszczurki o szkarłatnych łuskach i wielkich złotych oczach. Salamandra. Ściągnięta daleko od swego macierzystego wymiaru, wiła się w męce. Żywiołaki niechętnie poddawały się rozkazom demonów.

Vermigeris cofnął się i skinieniem dał znak władczyni.

– Sprowadzono cię tu, żebyś odpowiedziała na pytanie – przemówiła Sul-Berith, stając tuż przy krawędzi pentagramu. Oczy salamandry rozszerzył strach. Żywiołaki miały bystry wzrok i widziały więcej, niż tylko pozory stwarzane przez cielesną

powłokę. – Słuchaj uważnie. Powiedziano nam, że w świecie ludzi, w Shan Vaola na zachodnim krańcu Zatoki Snów, uwięziono stado ifrytów. Jesteś w stanie stwierdzić, czy to prawda?

– W Shan Vaola, na zachodnim krańcu Zatoki Snów – powtórzyła posłusznie salamandra. Jej głos brzmiał jak skwierczenie oliwy. Zamknęła oczy, a płomyki pełzające po jej skórze przygasły. – Tak. Czuję je... Odcięte dawno temu. Uwięzione.

– Kto je uwięził i gdzie?

– Nie umiem ci tego powiedzieć, pani. Nie wiem.

Sul-Berith odwróciła się do Vermigerisa.

– Czy jest jakiś sposób, żeby zdobyć dokładniejsze informacje? Najlepiej sprowadzić wizję...

Mag potrząsnął głową.

– Potrzebne byłoby coś, co do nich należało. Pióro, pazur...

– Błagam, o potężni, uwolnijcie mnie – zaszepotała salamandra. – Lada chwila zgasnę, tu... jest tak zimno...

– Wypuść ją – rozkazała Sul-Berith. Nie było potrzeby narażać się królestwu ognia.

Mag skinął dłonią i żywiołek rozpląnął się w chmurze dymu, powracając do swojego wymiaru.

– No proszę. Kto by pomyślał. – Władczyni pstryknęła palcami. – Kouremosie!

Demon o głowie ibisa skłonił się nisko.

– Słucham, wasza wysokość.

– Ty i twój brat Nebbu wyruszycie niezwłocznie do świata ludzi. Odszukajcie te ifryty i uwolnijcie je ku chwale Doliny Cierni.

Rozdział 2 Niedobry wiatr

Pierwsze oznaki zachwiania ujrzano w Shan Vaola po zachodzie słońca. Na ciemniejącym niebie zapłonęły smugi czerwieni, purpury i fioletu. Powiał lodowaty wiatr, psy zaczęły wyć, a ludzi ogarnął niepokój.

Minęło ponad osiemset lat, odkąd bogowie opuścili świat śmiertelników. Zmrocza, ostatnie stworzone przez nich dzieło i ostatni dar, jaki ofiarowali ludzkości, z upływem czasu osłabła i stała się kapryśna. Niegdyś była równie stabilna, co porządek niebios, zgodnie z którym noc następuje po dniu, a pory roku zmieniają się w ustalonej kolejności. Teraz równowaga jej prądów stała się tak chwiejna, że w każdej chwili mogły ją zakłócić wydarzenia na ziemi.

Podczas zachwiania słabły bariery wokół materialnego świata. Zwykle nieszczęśliwości nie były duże i przenikały przez nie co najwyżej pomniejszych duchy – złośliwe kręciele z wymiaru powietrza, pojedynczy umarli, jedna czy druga larwa. Jednak zdarzały się i gorsze przypadki. Domy przerzucone w całości do wymiaru ognia, ludzie opętani przez demony, które przybyły znikąd. Dlatego srebrni magowie uważali za swój obowiązek czynić wszystko, co możliwe, żeby chronić równowagę Zmroczy, określaną przez nich górnolotnie jako Ekwilibrium.

Zwykli śmiertelnicy w swej ignorancji nie zawsze byli im wdzięczni za te wysiłki. Jednak magowie nie potrzebowali i nie oczekiwali ludzkiej wdzięczności. Postępowali po prostu tak, jak nakazywał kodeks Elity, bractwa srebrnego pentagramu.

Z portu w Shan Vaola przy dobrej pogodzie można było rozróżnić w oddali zarys skalistego wybrzeża Wyspy Salamander. Znajdujące się tam laboratoria Elity były miejscem, gdzie srebrni magowie podczas zachwiań odprawiali rytuały mające przywrócić Ekwilibrium. Śpiewali pieśni, przelewali krew zwierząt ofiarnych, a także

– wprowadziwszy się śpiewem w trans – własną, kalecząc swe ciała srebrnymi nożami.

Czasem zachwiania dawały się wyrównać stosunkowo łatwo, lecz nie tym razem. Luna świeciła przez całą noc, głucha na wszelkie zaklęcia, zaś o świcie nad miasto przyplynęły chmury, z których spadł najpierw deszcz o gorzkim smaku, a później grad robactwa i żab.

Zbliżało się południe. Niebo wciąż jeszcze mieniło się podejrzany barwami, niczym ścieki z farbiarni.

Trzej zbieracze śmieci z rodziny odmieńców – Psiogłowiec, Krzywulec i Znajda – szli plażą w kierunku odległego cypla. Mieli nadzieję, że natrafią tam na drewno wyrzucone przez fale, jak zwykle po nawałnicy. Morze było wzburzone, wiatr szarpał rozwieszony na palach rybackie sieci. Tu i ówdzie na piasku leżały zdechłe żaby.

– Patrzcie, wiara, to z tej porannej ulewy – stwierdził Krzywulec. – Nie jest dobrze. Kiedy żaby lecą z nieba, to znaczy, że wielmożnym magom coś się schrzaniło na potęgę.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł smród zgnilizny – nieopodal znajdowało się ujście jednego z miejskich kanałów. Z obmurowanego otworu w porośniętej chwastami skarpie lał się strumień brudnej wody. Ścieki uchodziły do płytkiej zatoczki, której brzeg pokryty był szlamem i odpadkami. Dookoła z wrzaskiem krążyły mewy. Kilku obdartych chłopców grzebało patykami w cuchnącym błocie – nie wyglądało to na zabawę, raczej szukali monet i drobiazgów, które można sprzedać.

– Patrzcie, braciszku, rośnie nam konkurencja. – Psiogłowiec wyszczerzył zęby, następnie zaś gromko zaryczał, udając, że chce rzucić się na dzieci. Te rozbiegły się w przestachu, a odmieniec zarechotał. Do straszenia miał, nie dało się

ukryć, idealne warunki: barczysty, długouchy i porośnięty rozkudłaną sierścią, zwisającą w pozlepianych kłakach.

Krzywulec z kolei, niski i przysadzisty, straszyl szczeciniastym, przypominającym ryj obliczem. Miał krzywy kręgosłup, garb na łopatce i zniekształcone nogi. Tylko Znajda był zwyczajnym, zdrowym chłopcem – sierotą, którego odmieńcy przygarnęli i odchowali.

Drobny i chudy, nie wyglądał na swoje trzynaście lat. Był niemiłosiernie brudny i – podobnie jak jego towarzysze – uważał to za coś oczywistego, część życia. Nosił imię odmieńca, bo nikt mu nigdy nie nadał innego. Nie pamiętał swoich prawdziwych rodziców i prawie nigdy o nich nie rozmyślał; czasem tylko zastanawiał się, po kim odziedziczył kręcone rude włosy, niezbyt często spotykane nad Zatoką Snów.

Herszt śmieciarzy, Siny, był skłócony z dozorcami miejskiego wysypiska, dlatego familia prowadziła swój zbieraczy proceder na ulicach i podwórzach. Czasem zdarzało się, że jej członkowie brali za to cięgi od straży miejskiej. Żyli podle, ubierali się w znalezione łachmany i żywili się odpadkami. Ale Znajda nie znał innej egzystencji, dlatego uważał, że jego los nie jest najgorszy. Przynajmniej miał przyjaciół.

– O proszę, opłaciło się przyjść. – Psiogłowiec podniósł wielki, mokry kawał drewna i wrzucił go do worka. – Jest tego więcej. Zbieramy.

– Spójrzcie na te chmury. – Krzywulec wskazał niebo. Znad zatoki nadciągał skłębiony ciemny wał. – Ciekawe, czy zaraz lunie.

– I ciekawe, co z nich lunie. – Znajda też schylił się, żeby podnieść ułamany konar, i nagle zamarł. – Hej... chłopaki, chodźcie tu – zniżył głos do szeptu.

– Co jest?

– Patrzcie.

Na piasku pod kępą krzaków siedział bez ruchu wynędzniały, zarośnięty mężczyzna w podartym ubraniu. Nawet nie drgnął, słysząc ich głosy, tylko wpatrywał się w przestrzeń szklistym wzrokiem.

– To świr – skostatował Krzywulec. – Widywałem już takich. Pewno rodzina go wykopała na bruk. Kiepsko wygląda, nie da się ukryć.

Ciemne, sięgające ramion włosy nieznajomego zwisały w strąkach. Nie sposób było stwierdzić, czy jego cera jest śniada z natury, czy to brud. Prawy policzek pokrywały paskudnie wyglądające strupy.

– Zostawcie go, jest trędowaty. – Psiogłowiec skrzywił się z obrzydzeniem, ale Krzywulec prychnął pogardliwie.

– Gdzie masz oczy, nieuku? To tylko zapaprane rany. Ciekawe, co go tak poharatało. Albo kto.

Pod warstwą strupów istotnie dało się rozróżnić trzy zasklepiające się już cięcia. Wyglądało to tak, jakby skórę wokół ran pokryły pęcherze, przechodzące miejscami w czarne plamy martwicy, a teraz to wszystko się goiło, powoli i z trudem.

Znajda trącił Krzywulca łokciem.

– Spójrz na jego ręce. To wygląda, jakby mu puszczano krew, prawda?

Psiogłowiec niecierpliwie przytupywał w miejscu.

– Już dość się nagapiliście. Świr jak świr, też mi sensacja. No, ruszcie tyłki, zimno jest. I zaczyna padać.

O piasek istotnie uderzyły pierwsze krople deszczu. Nagle z wiatrem przyplął przenikliwy, chichoczący krzyk, ni to ptasi, ni ludzki.

– Kręciele – rzucił nerwowo Krzywulec. – Cholera! Tylko tego nam było trzeba!

Powietrznych straszyleł powszechnie się bano, bo zsyłały choroby, a jeśli miały taki kaprys, mogły człowieka porwać i rozszarpać ostrymi jak stal szponami.

W górze ponownie zabrzmiał złowrogi wizg i chichot, powiało zimnem. Na plaży z łopotem wylądowało kilka pokracznych stworzeń o kształtach ni to ptasich, ni

nietoperzych, o czarnych skrzydłach i jarzących się ślepiach. Krzywulec zwinął się w kłębek, zasłaniając głowę płaszczem. Psiogłowiec zawarczał groźnie, unosząc pięści. Znajda ścisnął w rękę kij.

Raptem jeden ze stworów wrzasnął ostrzegawczo i kręciele wzbiły się z powrotem w powietrze. Nastąpiło to tak szybko, że gdy przyjaciele ochłonęli, na ziemi wałało się już tylko kilka czarnych piór.

Psiogłowiec i Znajda popatrzyli na siebie, nie wierząc własnemu szczęściu. Po dłuższej chwili Krzywulec odważył się wstać.

– Poleciały?... – spytał, wytrzeszczając ślepia. – Jak to możliwe?

Szelest za plecami sprawił, że wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę.

Nieznajomy poruszył się. Patrzył teraz na nich – pustym, budzącym dreszcz wzrokiem.

– Ee... jak się nazywasz? – zaryzykował Znajda, pamiętając, żeby mówić jak zwykli ludzie. Nie należało się spodziewać, że obcy będzie rozumiał żargon odmieńców, składający się w połowie ze słów, a w połowie z gestów.

Mężczyzna otulił się kurtką, jakby było mu zimno, i nadal wpatrywał się w nich, nic nie mówiąc.

– Lepiej go nie zagaduj, mały – mruknął Psiogłowiec. – A nuż to zbiegły morderca.

– Co za bzdury! – obruszył się Znajda. – Pewnie wydostał się ze szpitala dla obłąkanych.

– Nie wiadomo. Z tego, co słyszałem, tam pacjentom goli się głowy. I w ogóle coś mi tu nie pasuje.

– A ja chyba nawet wiem, co ci nie pasuje – rzucił cicho Krzywulec. – Faktycznie, to dziwne.

– Co?

– Ma buty. I przypatrz się dokładniej, jak jest odziany.

– He?

– Psiogłowiec, stary tumanie. Spójrz no tu. – Krzywulec dotknął rękawa swojej tuniki, sztywnej od brudu i tak połataniej, że trudno było dociec, z jakiego materiału ją wykonano. – Jesteś śmieciarzem i nie potrafisz dostrzec różnicy między moimi łachami a porządnym ubraniem, które ktoś zniszczył, sypiając w nim po krzakach? On się nie tuła długo, jakem odmieniec.

– Mógł dostać to ubranie od kogoś. Albo ukraść.

– Myślisz?

– Cholera wie. Może być sprytniejszy, niż wygląda. Z wariatami nigdy nic nie wiadomo.

Krzywulec znowu popatrzył z namysłem na nieznanego.

– Chodź, przyjacielu – stwierdził, ku zdumieniu towarzyszy ujmując go za ramię. Obląkany wstał posłusznie, chwiejąc się trochę na nogach. – Pójdiesz z nami.

Psiogłowiec wytrzeszczył ślepie.

– Zwariowałaś? Co Siny na to?

– Nie wiem. Ale nie godzi się go tu zostawić. Jest zachwianie, grasują kręciele i w ogóle. Co tak patrzycie?

– No... – Psiogłowiec poskrobał się po kudłach. – W sumie, może to nie taki zły pomysł. Jakby dało się go przyuczyć do roboty, to wuj Siny jeszcze nam podziękuje.

Obląkany zamamrotał coś.

– Tak, tak. – Krzywulec uspokajająco poklepał go po plecach. – Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą.

Bogate Shan Vaola, pełne pięknych kamienic i brukowanych placów z fontannami, posiadało też swoją brzydszą stronę. Podziemia.

Prastare lochy ciągnęły się daleko w głąb otaczających miasto wzgórz. Nikt nie wiedział, jak głęboko sięgają, bo niebezpiecznie było zapuszczać się tam, gdzie przejścia groziły zawaleniem, a w zakamarkach korytarzy gnieździły się zdziczałe homunkulusy, polujące na szczury i siebie nawzajem, ale niegardzące też człowiekiem, jeśli się trafił.

Większość mieszkańców Podziemi wolała się trzymać blisko powierzchni. Najwyższe poziomy stanowiły niejako część miasta i toczyło się tam miejskie życie. W dogodnie położonych, suchych i przewiewnych kryptach kupcy składowali towary; rzemieślnicy, których nie było stać na urządzenie warsztatu na powierzchni, mogli rozważyć przeniesienie się do lochów. Osobnymi, zamkniętymi korytarzami płynęły ścieki. Położone na uboczu przejścia stawały się schronieniem bezdomnych i kryjówką przestępców. Ale im niżej, tym bardziej niepodzielnie królowały ciemność i cisza, z rzadka mącona szmerem spadających ze sklepienia kropel.

W Podziemiach nie lubiano wilgoci. Pleśniały od niej posłania, a ludzie chorowali. Ale miała ona jedną zaletę. Na zawilgoconych murach i skałach, zwłaszcza tam, gdzie wysypano śmieci, rósł fosforyzujący mech. Wystarczyło zeskrobać garstkę i rozgotować w wodzie, by uzyskać świecąca niebieskawo maź, którą należało tylko wlać do szklanego naczynia, żeby powstała lampa. Mieszkańcy lochów nazywali tę substancję po prostu świeciwem. Była tańsza i praktyczniejsza w użyciu niż pochodnie i kaganki, tym bardziej że swoje właściwości zachowywała przez długie miesiące.

Krypta śmieciarzy, położona na czwartym poziomie od góry, nie była przyjaznym miejscem. Dymiące ogniska, barłogi ze szmat, ciągnący od ścian wszechobecny ziąb. Ale żyło się tam lepiej niż na ulicy, pod gołym niebem.

– Nie bój się – powiedział uspokajająco Znajda, kiedy obłąkany zawahał się w progu. – Jesteśmy w domu.

Ledwie weszli, drogę zastąpiła im Kurzajka – sędziwa, utykająca odmianka, druga po Siny, jeśli chodzi o pozycję w rodzinie.

– Co to ma być? – zapytała ostro, biorąc się pod boki. – Kiedy się przychodzi? I odkąd sprowadza się przybłędów?

Krzywulec, jękając się nieco, zaczął wyjaśniać. Przerwała mu w pół słowa i oznajmiła, że wszyscy trzej są durniami, a potem że Siny śpi i nie łąza go budzić.

– Nie ma dzisiaj ciepłej strawy, bo mnie plecy bolą – oznajmiła na koniec. Psiogłowiec od razu zmarkotniał.

– A chleb jest?

– Jest. Chociaż ciebie przydałoby się przegłodzić, kałdun ci za duży rośnie. – Szturchnęła kudłacza w brzuch. – Chodźcie, co tak stoicie? Dam wam.

– Tylko tyle? – obruszył się Krzywulec, kiedy dostali swoje porcje. – A dla niego?

– Wyście go przyprowadzili, to się z nim dzielcie.

– Skąpa jędza – mruknął Znajda.

Wyłożyli z worków przyniesione drewno, żeby się suszyło, a następnie usiedli przy ognisku, rozkoszując się ciepłem. Obląkany nadal milczał, ale na widok ognia wyraźnie się ożywił i też wyciągnął zmarznięte ręce w stronę płomieni.

– Pochrupek, chodź tu – zawołał z cicha Znajda. Z kąta wyjrzał stworek wzrostu dwuletniego dziecka, ze spiczastą, szczurzą mordką. Pisnął i podbiegł do chłopaka. Znajda odłamał kawałek ze swojej kromki i rzucił mu. Resztę chciał podać obląkanemu, ale Krzywulec go powstrzymał.

– Jedz, mały, ty jeszcze rośniesz. Niech zje mój, nie jestem głodny.

– Hej, Pyszczyk, ślicznotko, pójdziemy w miasto się zabawić? – rzucił Psiogłowiec, kiedy podeszła do nich dziewczyna z głową kota, ubrana w męską roboczą tunikę i spodnie. Jej ciało porastała delikatna szara sierść.

– Nie masz za co – odpała Pyszczyk.

Jak przystało na istotę o kociej aparycji, wyglądała czyściej od pozostałych, a jej legowisko znajdowało się w pewnej odległości od reszty. Przyłączyła się do rodziny zaledwie przed kilkoma tygodniami i wiedzieli, że nie zabawi w Podziemiach długo. Na powierzchni pracowała jako tancerka, naraziła się komuś i postanowiła na jakiś czas zniknąć z widoku.

Znajda ją lubił. Była miła i nie zadzierała nosa.

– Hej, młody, co ja widzę? – zagadnęła, siadając przy ogniu. – Znalazłeś sobie brata? Bogowie, co mu się stało w twarz?

– Nie wiemy. Siedział na plaży. Nie mogliśmy go tam zostawić, jest zachwianie, kręciele, no wiesz – wyrzucił z siebie chłopiec jednym tchem. – Może Siny się zgodzi, żeby został z nami.

Obląkany podniósł głowę, jakby rozumiejąc, że mówią o nim. Nagle jego wargi poruszyły się.

– Pysz-czek. – Powiedział to cicho, ale wyraźnie.

– Tak, zgadza się – odpowiedziała życzliwie odmianka. – Nazywam się Pyszczek.

– Pyszczek. – Przez jego twarz przemknął uśmiech. – Miau.

Jej wąsy drgnęły, widać było, że stara się nie roześmiać.

– Miau, biedny chłopcze. Widzisz, na co ci przyszło? Przygarnęli cię śmieciarze.

Sięgnęła na swoje posłanie, podniosła jedną z derek i narzuciła mu na ramiona.

– Trzymaj, jeszcze tego brakowało, żebyś spał na zimnych kamieniach. Mam tylko nadzieję, że Siny cię stąd nie przepędzi.

– Siny śpi. – Krzywulec machnął ręką. – Jutro z nim pogadamy.

Nad miastem zapadał wieczór. Ławice chmur odpłynęły, odsłaniając księżyc. Krwawe smugi na niebie stopniowo gasły.

Na dziedzińcu starej świątyni Harana, władcy bogów, panowała cisza. Ciężkie odrzwia były zamknięte na kłódkę – otwierano je już tylko z okazji wielkich świąt, dwa razy do roku.

Na schodach siedziała kobieta o długich, rozpuszczonych jasnych włosach, ubrana w biel. Srebrna czarodziejka Iglendis ar Vanth w zamyśleniu spoglądała na miasto.

Marmurowe stopnie schodów były spękane, a w szczelinach rosły chwasty. Minęło ponad osiemset lat, odkąd bogowie odeszli, i ich kult pomалу wygasał. Zamiast modlić się do wielkich nieobecnych, ludzie woleli obdarzać czcią ostatnich nieśmiertelnych, takich jak Matki Żywiołów, król gór Eremus, tajemniczy leśny stwór Koźlonogi albo Protheus, zmiennokształtny morski starzec. Nie potrafili lub nie chcieli pojąć, że od czasu odejścia bogów jedyną siłą, jaka naprawdę się liczy, jest Zmrocz, Sha’r. Potężna, a zarazem jakże niedoskonała w swej kruchej równowadze.

Ze wzgórza widać było morze dachów, a dalej zatokę. Gdy Iglendis zamknęła oczy, wewnętrznym wzrokiem maga nadal widziała miasto, teraz jako drgającą mozaikę światła i cienia. Miało własną aurę, niewiarygodnie złożoną, bo składały się na nią odrębne aury każdego z mieszkańców, każdego domu, każdego kawałka ulicy. Zdarzenia, myśli, emocje. Miasto żyło.

Czarodziejka wyjęła z fałdów szaty błękitny kryształ w srebrnej oprawie i dwukrotnie puknęła weń małym palcem lewej dłoni. Wewnątrz kryształu pojawiło się oblicze siwobrodego starca.

– Zachwianie wyrównuje się, mistrzu Demetheosie – oznajmiła Iglendis. – Aura miasta odzyskała stabilność. Nie ma już żadnego zagrożenia.

– Doskonale, moja córko – zabrzmiał z kryształu nieco zniekształcony głos. – Dziękuję ci. Możesz wracać do swoich obowiązków.

– **Z**obacz, zasnął.

– I dobrze. – Krzywulec flegmatycznie wystukał popiół z fajki. – Może jak się zbudzi, będzie przytomniejszy.

– Ciekawe, co mu właściwie jest.

– A co za różnica? Wariat to wariat. Świat jest ich pełen.

Znajda, wsparty na łokciu, patrzył na obłąkanego z troską.

– Jak sądzisz, czy Siny się zgodzi, żeby z nami został?

– Co ma się nie zgodzić? Śpij, mały. Za dużo myślisz, to szkodzi zdrowiu. – Krzywulec ziewnął, aż mu chrupnęło w szczęce, i wyciągnął się na posłaniu.

Tuż przed zaśnięciem Znajda przypomniał sobie jeszcze wrzaski kręcieli. Co chciały przekazać? Miały groźby czy ostrzegały przed zachwianiem? A może po prostu naśmiewały się z ludzi, którzy nie potrafili latać z wiatrem w zawody? Usnął z tą myślą.

W siedzibie śmieciarzy było coraz ciszej. Szeptane rozmowy umilkły, ogniska przygasły. W końcu w krypcie rozbrzmiewały już tylko miarowe oddechy i chrapanie.

Wtedy obłąkany otworzył oczy.

Chwilę trwał w bezruchu, patrząc w przestrzeń. Potem wyczołgał się spomiędzy śpiących, nie budząc nikogo. Zabrał derkę i swym niepewnym, chwiejnym krokiem opuścił kryptę.

Gdyby odmieńcy mogli go teraz zobaczyć, wiedzieliby już na pewno, że coś tu się nie zgadza. Obłąkany nie potrzebował światła. Szedł powoli, ale nie po omacku, nie potykał się. Po krótkim błądzeniu odnalazł schody prowadzące w górę.

Choć na powierzchni panowała noc, na pierwszym poziomie Podziemi jarzyły się lampy i kręcili ludzie. Tu przez całą dobę coś się działo.

Przy wyjściu na ulicę Świątynną odmieniec o białej skórze i wypukłych czarnych ślepiach, pogwizdując, zamiatał posadzkę. Dwoje obdartych dzieci drzemało we wnęce na posłaniu ze szmat. Bosa dziewczyna w spódnicy szytej z kolorowych łątek oferowała na sprzedaż kadzidełka i ciastka.

Przy samych schodach stary szczurołap Veljanov rozmawiał ze szpakowatym mężczyzną w czarnej szacie z dwoma białymi pasami u dołu. Bernard Savin był lekarzem i na co dzień praktykował swój zawód raczej w zamożnych mieszczańskich domach. Ale zgodnie z obowiązującym w Shan Vaola prawem, członkowie cechu medyków mieli obowiązek pomagać ubogim i bezdomnym. Na przestrzeni dwudziestu lat Bernard zdążył dobrze poznać społeczność Podziemi, a oni traktowali go do pewnego stopnia jak swego.

– Patrzeć już nie mogę na to, co się dzieje w mieście, doktorze – stwierdził Veljanov, nie wyjmując fajki z ust. Wzięło go na monologowanie na tematy polityczne, jak zwykle, kiedy był w podłym nastroju. – Z każdym rokiem, cholera, jest gorzej.

Bernard, który dobrze go znał, mruknął coś nieokreślonego.

– Wiecie, jaką dziś mamy rocznicę?

– Nie.

– Ha! Wy jesteście za młodzi, ale ja pamiętam dokładnie. Dziś mija czterdzieści osiem lat, odkąd doża przekazał władzę w ręce srebrnych magów w zamian za ocalenie miasta i dworu od zarazy. Niech skonam, czasem sobie myślę, że lepsza byłaby zaraza niż oni. Ustalają prawa, jak im się podoba, zmieniają je wedle kaprysu. Straż miejską okroili o połowę, w zamian nahodowali golemów, ale niech mnie mór udusi, jeśli pojmuje, jaki pożytek z tych przeklętych kukieł. – Wskazał brunatny zaciek na murze. – Ot, nie dalej jak wczoraj zbiry zadźgały w tym miejscu chłopaka, pod samym nosem patrolu. Co zrobiły golemy? Nic.

– Przecież znacie prawo. Jednoocy interweniują tylko wówczas, gdy wymaga tego Ekwilibrium.

– Ekwilibrium – powtórzył z obrzydzeniem szczurołap. – Jestem prosty człek i mówię wam: gówno, doktorze. Piękne słowo, które nic nie znaczy. Co nam po Ekwilibrium, kiedy sprawiedliwości brak? Co to za sprawiedliwość, jeśli jednego dnia złodziei się wiesza, drugiego puszcza wolno? Kto to pojmie?

– Nie nam sądzić magów, Veljanov.

– Nie nam? A komu? Obaj mieszkamy w tym mieście, doktorze, obaj wiemy, jak ono wygląda. Biedy i przestępstw jest tyle samo, co za dożów, może nawet więcej, ale srebrnych nic to nie obchodzi. Wolą gapić się w gwiazdy, tworzyć golemy, hybrydy icholera wie co jeszcze. Nasz miłościwy Najdostojniejszy to też przecie żaden człowiek, jeno kukła wyhodowana w kadzi. Po co w ogóle srebrnym Najdostojniejszy? I tak wiadomo, że to oni rządzą.

– Do pioruna, uważajcie na to, co mówicie – powiedział cicho Bernard. – Te mury mają uszy.

Veljanov tylko wyjął fajkę z ust i splunął.

W pobliżu rozległ się stuk, potem zaskrzypiało. To sprzedawczyni bułek ostrożnie sprowadzała po schodach wózek pełen świeżych wypieków. Pomogli jej.

– A może rogalika? – Uśmiechnęła się, pokazując spróchniałe zęby. – Dobrze są. Z kapustą albo z soczewicą.

Szczurołap potrząsnął głową, ale lekarz sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Ja poproszę jednego z kapustą. Veljanov? Na pewno nie?

– Nie trza. – Stary poskrobał się po nieogolonym podbródku. – Doktorze, ja do was jeszcze jedną sprawę mam.

– Jaką?

Veljanov rozejrzał się, zniżył głos.

– Adelmo zaniemógł. Ten kulawy czyściciel kanałów, wiecie. Leży w gorączce. Boim się, czy to nie ospa.

Bernard westchnął w duchu. Był zmęczony i nie miał ochoty schodzić do kolejnej śmierdzącej izby, do kolejnego brudnego i zawszonego pacjenta.

– Zbadam go. Ale jeśli to ospa, będę musiał powiadomić władze cechu.

– Zabierzecie go do szpitala i będziecie leczyć tym palącym skórę świństwem?

– Takie jest prawo.

Veljanov przygryzł wąsa.

– Zaprowadź mnie do niego – polecił Bernard. – Jeśli to ospa, lepiej, żebyśmy się dowiedzieli wystarczająco wcześnie, zanim zapadnie na nią połowa dzieciaków w Podziemiach.

Oddalili się, nadal rozmawiając przyciszonymi głosami. Wyminęli obdartego, zarośniętego człowieka ze strupami na twarzy, który nadszedł chwiejnie z głębi korytarza, niosąc na ramieniu derkę.

Białoskóry odmieniec na jego widok odstawił miotłę i zagwizdał.

– Ej, ty! Co ci się stało w gębę?

– Daj mu spokój – rzuciła karcąco dziewczyna od kadzidełek.

Obląkany zbliżył się do schodów, zadarł głowę. Widoczne w górze niebo z czarnego stało się ciemnoniebieskie – znak, że wkrótce zaczniesz świtać.

Stał tak chwilę, potem usiadł na najniższym stopniu. Szepcząc do siebie, wodził dłonią tam i z powrotem w powietrzu, jakby chwycił niewidzialne pajęczyny. Staruszka od bułek i rogali popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Pewnie jesteś głodny, synku, co? Chodź, dam ci coś.

Godzinę przed świtem na ulicach jeszcze panowała cisza, okiennice były pozamykane. Na placu przed ratuszem, pod studnią, drzemał bezpański kundel.

Kiedy z zaułka wyłoniło się dwóch mężczyzn, tylko przelotnie zastrzygł uchem i spał dalej.

Dwa demony dopiero co przybrały śmiertelne ciała. Kouremos przyjął postać korpulentnego mężczyzny z czarną brodą, Nebbu – szczupłego młodzieńca. Zakamuflowali się perfekcyjnie; nawet srebrni magowie nie umieliby teraz rozpoznać ich prawdziwej natury.

Byli ubrani przyzwoicie, ale tak, żeby nie przykuwać uwagi. Ot, przyjezdni. Idąc, rozmawiali przyciszonymi głosami, oczywiście nie w narzeczu Otchłani, tylko w mowie imperium Nedgvaru. Zнали wszystkie ziemskie języki, a do Shan Vaola przyjeżdżało wielu nedgvarskich kupców.

Nagle Nebbu zaklął, bo wdepnął w końskie łajno. Z obrzydzeniem obejrzał but i spróbował go wytrzeć o bruk.

– Dość tu brudno, nie sądzisz? Jak na miasto, którym rządzą srebrni magowie...

– Od razu widać, że rzadko bywasz na ziemi. To – Kouremos zatoczył krąg ręką – jest cywilizacja jak się patrzy, mój młody przyjacielu. Brukowane ulice, rynsztoki, akwedukty. I prawie nikt nie wylewa nocników przez okno.

– Trzeba przyznać, że architekturę mają niczego sobie. – Nebbu zadarł głowę, żeby przyjrzeć się płaskorzeźbom na fasadzie najbliższej kamienicy. – Więc jaki mamy plan na najbliższe dni?

– Cóż, w pierwszej kolejności trzeba się wywiedzieć, ilu magów aktualnie przebywa w mieście.

– Srebrnych czy czarnych?

– Jednych i drugich. Musimy sprawdzić ich siedziby. Na drugi ogień pójda amatorzy, ci wszyscy ekscentryczni arystokraci, którzy potajemnie zabawiają się gusłami i kolekcjonują niebezpieczne osobliwości. Trzeba też będzie oczywiście rozejrzeć się po rynku zakazanych cudeniak. Kramy z amuletami, sprzedawcy ksiąg, te sprawy.

- To wszystko zajmie trochę czasu.
- Cierpliwości. Ostrożność i dyskrecja przede wszystkim.

Rozdział 3 Familia

Obudziło go zimno i ćwierkanie ptaków. Przetarł oczy.

Nad sobą zobaczył bezchmurne niebo, różowiejące na wschodzie.

Siedział na trawie, oparty plecami o coś twardego. Okazało się, że to fragment zniszczonego muru, w którym ział czarny otwór, chyba zejście do piwnic.

Obłąkany zadrżał. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Przeszłość była matnią zamazanych wrażeń. Krzyki... szum morza... mgła...

Był owinięty w derkę i trzymał w ręku rogala z jakimś nadzieniem. Nie pamiętał, jak zdobył jedno i drugie. Pomyślał, że chyba nie chce tego wiedzieć.

Nie miał gorączki. Chociaż tyle. Ostrożnie dotknął twarzy i przekonał się, że stan zapalny ustąpił, spod strupów już nie sączył się wstrętny wysięk. Rany nareszcie się goiły.

Nagle uświadomił sobie, że jest piekielnie głodny. Odgryzł kawałek rogala i przekonał się, że brązowa breja w środku to soczewica.

Żując, rozejrzał się, i stwierdził, że znajduje się na łagodnie nachylonym zboczu, gdzieniegdzie zarośniętym krzakami. Poniżej rozciągały się łąki, zasnute poranną mgiełką. Trochę dalej leniwie toczyła swe wody szeroka rzeka. Na drugim brzegu majaczyły zabudowania.

Jeśli ufać pierwszym wrażeniom – przyjazne miejsce.

Zmrużył oczy. Na przełaj przez łąki szła postać, niosąca wędkę i wiklinową plecionkę z rybami. Przyjrząwszy się dokładniej, mimo woli poczuł dreszcz.

To nie był człowiek, lecz... stwór. Miał nieproporcjonalnie długie kończyny i zupełnie łysą głowę, zwężającą się na czubku w szpic.

Obłąkany pomyślał, że może powinien się ukryć w krzakach, ale było za późno. Odmieniec dostrzegł go już; przyspieszył kroku i zamachał ręką na powitanie.

Z bliska wyglądał jeszcze bardziej odrażająco. Spod żółtej jak siarka skóry sterczały gdzieniegdzie kawałki chrząstki, a w miejscu nosa ziała podłużna szpara, która otwierała się i zamykała w rytm oddechu. Resztę ciała spowijały brudne łachy.

Szczerzył przyjaźnie zęby, jak do starego druha.

– Tum cię znalazł! Żyjesz, sokole?

– Ty mnie znasz?

– Jakżeby inaczej. Nocowałeś wczora u nas. Myślelim, żeś jeden z tych, no... co rozum mają nie całkiem tego. Znikłeś, gdyśmy spali, a tera tu sobie siedzisz jakby nigdy nic! Jelegancko żeś nas nabrał, brachu. Naćpany byłeś czy jak? A zresztą, do biesa z tym; dobrze ci z oczu patrzy. Jam jest Czapla, a ciebie jak zwą?

– Brune – obłąkany wypowiedział pierwsze imię, jakie podsunęła mu pamięć. – Brune Keare.

Odmieniec powtórzył to sobie po cichu kilka razy.

– Takie sobie miano – stwierdził autorytatywnie. – Wynajdziem ci lepsze.

Nad rzeką tymczasem wzeszło słońce. Mgły opadły. Pierwszy promień ozłocił wodę, padł na zbocze i mur.

Brune nagle zorientował się, że światło razi go w oczy. Przymknął powieki, ale nie odsunął się. Był zmarznięty, zatęsknił za słonecznym ciepłem.

Przykro się zawiódł. Prawie od razu uderzyło go nieprzyjemne gorąco, jakby usiadł za blisko ognia. Czym prędzej usunął się w cień, ale było za późno. Prawa połowa twarzy już boleśnie swędziała. Poczuł, że kącik ust i powieka zaczynają drgać. Odmieniec zmarszczył czoło.

– Słońce ci szkodzi?

Pokiwał głową, wciąż bezskutecznie starając się zapanować nad tikiem. Czapla namyślał się przez chwilę, potem pociągnął go za rękaw.

– Wstawaj. Trza ci należeć schronienie. – Nie czekając na odpowiedź, schylił się i wpełzł do otworu w murze.

Brune przełknął ostatni kęs, otrzepał ręce i wstał, zwijając derkę. Popatrzył z niesmakiem na swoje ubranie – wyglądało niewiele porządniej niż szmaty, które miał na sobie beznosy. Trudno, na razie nie miało to znaczenia.

Machinalnie powiódł palcami wzdłuż zagojonych śladów na nadgarstku. Potem ruszył w ślad za pokraczynym stworzeniem, zagłębiając się w mrok.

– **Psiogłowiec! Znajda! Przyprowadziłem wam zgubę!** – Czapła promieniał. – **Oprzytomniał!** Powiedział mi, jak się nazywa!

– Eee tam, nabierasz nas. – Pyszczek ziewnęła.

Czapła odwrócił się.

– Brune! No, powiedz im, jak masz na imię!

Obląkany tylko szeptał coś do siebie. Jego spojrzenie znów było szkliste, nieprzytomne. Czapła posmutniał.

– Chodź – powiedział Znajda, biorąc przybysza za rękę. – Siądź przy ogniu, zmarzęś. Po co odchodziłeś? Tu z nami jesteś bezpieczny. Damy ci jeść i w ogóle.

– O, co to, to nie! – wykrzyknęła Kurzajka. – Nie będę go karmić, chyba że Siny się zgodzi! Zresztą możecie go zaraz spytać o pozwolenie, właśnie wstał!

Istotnie, ciężkie, szurające kroki zwiastowały nieomylnie, że zbliża się herszt rodziny.

Jego imię wzięło się od sinawej, pokrytej plamami skóry. Z trudem włókł swoje masywne cielsko, co chwila chrząkał i odkastywał.

– No, dziatki, oto mamy kolejny piękny dzień – wychrypiał. Nagle zatrzymał się jak wryty, bo spostrzegł nieznajomego. – A to co? Co to, do pioruna, za jeden? Rozmnożyliście się przez noc?

– Nie patrz na mnie, tatku, to oni go przyprowadzili – oświadczył natychmiast Czapła.

– Ach tak. – Siny chrząknął ciężko. – No, chłopcy, co mi powiecie?

Psiogłowiec i Znajda popatrzyli wymownie na Krzywulca. Ten w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę.

– Sam mówiłeś onegdaj, wuju, że przydałoby się powiększyć rodzinę – bąknął.

– Zmiotucha już nie ma z nami, świećcie mu bogowie. Kurzajka niedomaga, Pochrupek jest za wątły, żeby chodzić z workiem, a Czapla nic, tylko ryby by łowił...

– Ale to człowiek! I w dodatku taki jakiś... nie bardzo. Pijany? Brał jakieś świństwo?

– Ma, zdaje się, coś z głową – odezwał się Znajda.

– Ale ręce w porządku – wtrąciła Pyszczek. – Warto się chyba zastanowić, wuju.

– Hmm. – Siny znowu chrząknął, krytycznie przypatrując się przybyszowi. Brune stał z apatycznie zwieszoną głową, nie reagując na to, co mówili. – Chudy, że szkoda gadać. Choruje na co paskudnego, jak myślicie?

– Nie. Wygląda na to, że jest zdrow, tylko z rozumem coś... nie całkiem. – Psiogłowiec wymownie stuknął się w czoło.

– Mówił do mnie – przypomniał Czapla. – Powiedział, jak się...

– Dobrze, dobrze – uciszyła go Pyszczek. – Wiemy.

Pochrupek pisnął, wspinając się na palce.

– Hrrrmf! – stary odmieniec odkaszlnął jak z głębi beczki. – Niech zostanie. Ręce ma zdrowe, może pracować. A głowa... Do naszej roboty wiele rozumu nie potrzeba. – Poklepał kudłacza po plecach. – Jesteś tego chodzącym dowodem, Psiogłowiec.

Znów śniły mu się niezrozumiałe obrazy.

Burza. Płonący zamek.

Dzwony biją głucho, żalobnie. Na ulicach tłą się stosy. Dym podnosi się, przesłania wszystko...

Wyspa pośród wzburzonego morza. Jałowe, skaliste wzgórza.

Loch, kajdany na rękach i nogach. Mam gorączkę i mrok przybiera dziwne kształty – widzę oblicza potworów, skrzydlate demony, węże...

Kręciele krzyczą wśród mgły. Świt srebrzy wody zatoki; u jej krańca widać wzgórza i miasto położone u ich stóp. Potem rzeczywistość rozstępuje się jak zasłona, ukazując schody prowadzące w dół. W ciszę i ciemność.

Kiedy Brune się ocknął, w krypcie było pusto. Ogniska wygaszono, zwinięte koce leżały pod ścianą. Przygarbiona, kulejąca odmianka zamiatała posadzkę. Jej pokryte brodawkami oblicze mogłoby należeć do jakiegoś stwora z moczarów. Kurzajka, przypomniał sobie, tak brzmiało jej imię.

– No, wreszcie żeś oprzytomniał – stwierdziła gderliwie, nie przerywając swojego zajęcia.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Brune. Cicho i ochryple, ale zrozumiale.

– A gdzie mają być? Poszli w miasto, jak co dzień.

– Znajda...

– Znajdy nie ma. Znajda w mieście. Ech, bido ty, niewiele pojmujesz, co? – Kurzajka z westchnieniem odstawiła miotłę. – Chodź. Dam ci jeść. Siny pozwolił.

Zaprowadziła go w kąt, gdzie obok paleniska stało trochę garnków, dwa wiadra i osmolony kociołek. Dostał kawałek podeschniętego chleba oraz ochłap zapleśniałego paskudztwa, które kiedyś przypuszczalnie było serem. Pokręcił głową na znak, że tego nie chce.

– Nie to nie. – Kurzajka wzruszyła ramionami i sama nadgryzła ser. Oddaliła się, żując. Brune napił się wody z wiadra i bez entuzjazmu zaczął jeść chleb.

Po jakimś czasie Kurzajka wróciła. Przez ramię miała przewieszony pęk starych, dziurawych ubrań.

– Chodź. Będziesz sortował łupy, ktoś musi. Weź latarnię.

Posłusznie poszedł za nią do mniejszej krypty, szepcząc niezrozumiale pod nosem. Pomieszczenie wypełniały sterty śmieci, piętrzące się aż pod sklepienie.

Śmieciarze umieli spożytkować praktycznie wszystko, co wpadło im w ręce. Stare zardzewiałe narzędzia, patelnie, podkowy i wszelkie inne żelazne przedmioty trafiały do kowala. Potłuczone szkło – do szklarza. Garnki, jeśli się dało, drutowali. Znaczące źródło zarobku stanowiły ubrania; z dwóch czy trzech dziurawych starych kaftanów przy odrobinie zacięcia można było wyczarować jeden cały. Naprawione sztuki trafiały do handlarza używaną odzieżą, który prał je i wystawiał na sprzedaż. Z gałganów szyli derki, których używali sami.

Zniszczone meble, ramy okienne, słomę z sienników, niedopalone szczątki drewna i węgla – to wszystko przeznaczano na opał. Z mebli starannie wyciągano przedtem gwoździe i zdzierano obicia, jeśli tkanina jeszcze się do czegoś nadawała. Kości, gdy nagromadziło się ich dostatecznie dużo, sprzedawano człowiekowi, który wytwarzał z nich klej.

Pomysłowość zapewniała przetrwanie.

Kurzajka usiadła na stołeczku, rozłożyła sobie na kolanach podartą dziecięcą sukienkę i wyjęła ze swojej chusty wpiętą tam igłę z nitką.

– Możesz się na początek zająć tą stertą w rogu. Szmaty kładź tutaj. Kości tam. Szkło do tego wiadra. I przestań mamrotać! Działasz mi na nerwy.

Spod uniesionej pokrywy kotła buchnął kłęb pary. W całej krypcie zapachniało obiadem, ten i ów niecierpliwie przełknął ślinkę.

– Oho, dzisiaj z omastą – ożywił się Psiogłowiec.

Kurzajka sprawnie rozdzieliła zawartość kotła do kilku garnków, które właściciele następnie zabrali, i familia zaczęła się pożywiać. Psiogłowiec,

Krzywulec, Pyszczek oraz Znajda jak zwykle jedli razem w pełnej zgodzie. Jęczmienna kasza chrzęściła w zębach.

– Hej, Znajda – odezwała się nagle Pyszczek, zerknąwszy przez ramię. – On znów... – Wymownie dotknęła skroni.

Znajda z pewnym żalem odłożył łyżkę i wstał.

– Zostawcie nam trochę, dobra? – poprosił. Podszedł do obłąkanego, który siedział nieruchomo na swoim legowisku, patrząc w przestrzeń. – Hej, dobrze się czujesz?

– Zostanie tylko popiół – powiedział cicho tamten. – Tylko popiół... – Nagle zrobił gest, jakby chciał się osłonić przed ciosem, a potem znów zastygł w bezruchu.

Znajda potrząsnął go za ramię.

– Brune? Obudź się! Jest obiad, chodź, zjemy razem!

Ale Brune tylko szeptał do siebie niezrozumiałe słowa. Niespodziewanie jego twarz wykrzywił tik, tak mocno, że przez chwilę przypominała zniekształcone oblicze odmieńca.

Znajda poczuł się nieswojo. Nie mówiąc nic więcej, wstał i wrócił do przerwane go posiłku.

– A on? – spytała półgłosem Pyszczek.

– Nie chce. Trudno, najwyżej poproszę potem Kurzajkę o trochę chleba.

Skończywszy jeść, wszyscy czworo wyciągnęli się wokół ogniska. Znajda okrył się derką i przymknął oczy. Pyszczek zaczęła się wylizywać po kociemu. Brune nadal siedział bez ruchu i patrzył na swoje ręce, czarne od brudu po dniu grzebania w śmieciach.

– Zostało jeszcze trochę, będziesz to jadł? – zagadnął go Psiogłowiec, pokazując garnek z przyklepionymi na dnie pozostałościami kaszy. Jedyłą reakcją było puste spojrzenie. – Pytam, czy będziesz to jadł.

Ponieważ Brune nadal nie odpowiadał, kudłacz, wzruszywszy ramionami, zabrał się do swojego ulubionego zajęcia, czyli dojadania resztek.

Krzywulec wyciągniętym z ognia węgielkiem zapalił fajkę.

– Oho, i tyleśmy mieli spokoju – stwierdził nagle, bo właśnie przykuśtykała do nich ciężko Kurzajka.

– Obiboki, lenie parszywe! Nic, tylko by żarli, a ty, babo, męcz się sama! – Z rozmachem postawiła na ziemi puste wiadra. – Leć mi który po wodę!

Psiogłowiec, nadal żując kaszę, trącił Brune'a w ramię.

– Hej, przybłędo! Zasuważ do studni, choć tyle pożytku będzie z ciebie.

– Nie trafi – skrzywił się Krzywulec, nie wyjmując fajki z ust. – Przecie to świr.

– Nie nazywaj go tak! – obruszył się Znajda, siadając. Brune tymczasem drgnął, przetarł rękawem twarz i popatrzył na nich przytomniej, jak obudzony ze snu.

– Mam iść po wodę?

Wyjaśnili mu, jak trafić do studni. Zabrał wiadra i wyszedł. Nie było go dość długo.

– Hej, Znajda, weź zobacz, co on tam robi – rzucił w pewnym momencie Krzywulec, wystukując popiół z fajki. – Utopił się czy co?

– Nie, właśnie wraca. – Pyszczyk zachichotała. – Patrzcie go, jaki panicz!

Brune postawił pełne wiadra pod ścianą i podszedł, żeby usiąść przy ogniu. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Włosy i koszulę miał mokre, wyglądał czyściej, ale drżał z zimna.

Narzucił na ramiona koc i wyciągnął ręce w stronę płomieni. Znajda patrzył na niego z podziwem i przestraszonym.

– Pogięło cię? Rozchorujesz się!

– Nie oczekujcie rozsądku od wariata – skwitował Krzywulec.

Egzystencja w ludzkim ciele, pod wieloma względami kłopotliwa i męcząca, miała też swoje plusy.

W kominku przyjaźnie trzaskał ogień. Kouremos rozsiadł się wygodniej w fotelu, opierając nogi na stołeczku. Upił z kielicha łyk wina i wsunął do ust miodowe ciastko.

On i Nebbu nawet nie pomyśleli o wynajęciu pokoju w jakiejś oberży. Wyszukali sobie dostatnią kamienicę, której właściciel, kupiec nazwiskiem Mertens, wyjechał w długą podróż w interesach. Zostawił w domu żonę i służbę, ale wystarczyło delikatnie ogłupić ich umysły, by zyskać doskonałą kwaterę.

Rozległo się pukanie i do sypialni zajrzała żona kupca, pulchna, schludnie ubrana kobieta.

– Czy jaśnie pan jeszcze czegoś sobie życzy?

Zaprzeczył i odprawił ją ruchem ręki. Kupcowa, skłoniwszy się, odeszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Kouremos w zamyśleniu dopił wino.

Mogliby z Nebbu zniewolić uprzejmą panią Mertens na przeróżne sposoby, znane i nieznanne ludziom. Mogliby doprowadzić dom kupca do ruiny. Ale nie było takiej konieczności. Potrzebowali tylko bezpiecznego i wygodnego schronienia na jakiś czas.

Zegar nad kominkiem melodyjnie wybił północ.

Kiedy przebrzmiał ostatni kurant, Kouremos wyjął z kieszeni lusterko w złotej, bogato zdobionej oprawie i chuchnął w nie. Wewnątrz lusterka pojawiło się oblicze władczyni.

– Jakie wieści? – zapytała.

Kouremos odchrząknął.

– Dokonailiśmy wstępnego rozpoznania. Mamy listę przebywających w mieście srebrnych magów oraz *ka-ira*. Od jutra zaczynamy sprawdzać ich siedziby, rozpytamy się też dyskretnie w środowisku.

– Bardzo dobrze. – Sul-Berith cmoknęła z aprobatą, po czym zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. – Kouremosie, nadeszły kolejne wieści od naszego szpiega w Dolinie Złota. Wygląda na to, że Charooz zwerbował nad Zatoką Snów nowego agenta. Lub też agentkę, nasze źródło nie zdołało odkryć płci.

– Interesujące. To potwierdzona informacja? Mamy pewność, że źródło się nie myli?

– Na tym etapie pewności mieć nie sposób, ale wszystko wskazuje, że nie. Kouremosie, posłuchaj mnie. Nie traćcie czasu na tropienie tego agenta, nie warto angażować w to sił, dopóki nie dowiemy się szczegółów. Gdyby jednak wasze ścieżki przypadkiem się przecięły, wyeliminujcie go... lub ją... z gry.

– Rozkaz. Uczynimy, co w naszej mocy. – Kouremos uśmiechnął się brzydtko.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Agnieszka Hałas: POŚRÓD CIENI, cykl TEATR WĘŻY, tom 2

Żyjąc poza prawem, nigdy nie wiesz, co przyniesie jutro. Krzyczący w Ciemności przekonuje się o tym, gdy schronienie w Podziemiach przestaje być bezpiecznym azylem.

Nie on jeden ma kłopoty. Lorraine, córka fałszywego maga, pada ofiarą klątwy. Anavri, która najbardziej na świecie boi się skażonego daru, czuje, że jej najgorszy koszmar zaczyna się stawać jawą.

Brune, niegdyś uzdrowiony z szaleństwa, niebezpiecznie oscyluje na granicy ponownego osunięcia się w obłąd. Dręczą go wizje i sny. Pokazują utraconą przeszłość czy kłamię? Tymczasem w realnym świecie czyha gildia przestępcza oraz srebrni magowie, przed którymi nie da się uciec nawet w śmierć.

W labiryncie sfer istnieją miejsca, gdzie można na jakiś czas się ukryć, i miejsca, gdzie można szukać odpowiedzi. Czy to wystarczy, aby zmylić za sobą ślad?

A jeśli to cienie z przeszłości stanowią największe zagrożenie?

Agnieszka Hałas: W MOCY WICHRU, cykl TEATR WĘŻY, tom 3 (część 1 i 2)

Ostatni tom rewelacyjnego cyklu Teatr węży o Krzyczącym w Ciemności, czarnym magu, którego przeszłość skrywa cień.

W świecie po Skażeniu, gdzie czarny dar czyni cię wyklętym i ściganym, każda maska, każda nowa tożsamość mogą zagwarantować bezpieczeństwo tylko przez krótki czas.

Marshia Lavallo, która przez lata służyła Otchłani, musi się zmierzyć z konsekwencjami – i płaci wysoką cenę. Krzyczący w Ciemności jeszcze nie wie, że przypomnieli sobie o nim wrogowie z poprzedniego życia. Anavri musi nauczyć się posługiwać darem, którego nienawidzi. A w jednym z miast nad Zatoką Snów grasuje morderca.

Co łączy tragedię, jaka rozegrała się przed laty w mieście ogarniętym zarazą, z człowiekiem w stroju błazna, który zabija kobiety lekkich obyczajów? I czy można wygrać z nieubłaganą logiką mówiącą, że w życiu czarnego maga każda więź prędzej czy później musi zostać zerwana?

Jedno jest pewne – nie należy liczyć na szczęśliwe zakończenie.

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny żółw”.

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, pugałów i handzarów, jęku cięciw, bają mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceannego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytnej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielbna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

Znajda to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

SZABLĄ I WĄSEM. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ SARMACKICH

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści *Nadzieja czerwona jak śnieg*. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Andrzej W. Sawicki: FURIA BŁĘKITNA JAK OGIEŃ

Rok 1863. W Polsce trwają buntownicze walki z wojskami Imperium Rosyjskiego. Drugi dyktator powstania zostaje pokonany i zmuszony do ucieczki, kolejne polskie bandy miażdżone są karzącą, carską pięścią. Nadzieja umiera po raz kolejny.

Ale gdzieś w lasach formuje się oddział straceńców złożony z odmienców o krwi skażonej czynnikiem mutatio. Obdarzeni nadludzkimi mocami desperaci rzucają wyzwanie carskiej potędze. Szpiedzy donoszą, że mutanci zbierają niedobitki rozbitych powstańczych partii i kierują się na Warszawę.

Ruszą do ostatniego, desperackiego boju. Rozniecą ogień, mogący spalić nie tylko carskich wrogów, ale wszystko wokół. Pozwolą porwać się furii, która może zniszczyć nawet ich samych.

Marek Hemerling: PILLON I SYNOWIE

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawa, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja,

nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłań?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmaczą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Aleksander Kowarz: RYDWAN BOGÓW

Fotoreporter, dwoje egiptologów, franciszkanin i nie taka całkiem zwyczajna turystka zostają przez przypadek towarzyszami niezwyklej podróży, która zaprowadzi ich w miejsca, o jakich nie śnili. A wszystko to za sprawą złotego skarabeusza, znalezione go w pobliżu Kazimierza Dolnego, który okazuje się kluczem do wielkiej zagadki.

Pięć tysięcy lat wcześniej w równie niezwykłą podróż wybrali się kapłan Świątyni Horusa Sefian i jego syn. Sefianowi została powierzona delikatna i ważna misja, a niepowodzenie nie wchodzi w rachubę.

Losy obu grup, choć dzielą ich tysiące lat, są ze sobą ściśle powiązane za sprawą tytułowego Rydwana Bogów. Czym jest, dlaczego jest tak ważny i dlaczego wszyscy chcą nim zawładnąć? Piątka towarzyszy musi znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, aby móc wrócić do domu.

Fascynująca powieść, w której odległa przeszłość przeplata się z terażniejszością, magia z wiarą, miłość z powinnością, a przeznaczenie z misją.